



S.C.J. Sansom

OSTATNIE LATA PANOWANIA HENRYKA VIII.
MISJA, KTÓRA DLA ZAUFANEGO PRAWNIKA KRÓLOWEJ
MOŻE SIĘ SKOŃCZYĆ OSKARŻENIEM O HEREZJĘ.

Lamentacje

CYKL MATTHEW SHARDLAKE

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LAMENTATION

Copyright © C.J. Sansom 2014
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Magdalena Sysz 2016

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Ilustracja na okładce: @ Alamy/BE&W

Opracowanie graficzne okładki: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział pierwszy

Nie wybierałem się na egzekucję. Nigdy nie lubiłem takich widowisk jak szczucie psami uwiązanego niedźwiedzia, a dziś miano spalić żywcem na stosie czworo ludzi, w tym niewiasty, za kwestionowanie obecności ciała i krwi Chrystusa w hostii podczas mszy. Oto, do czego doszliśmy w Anglii w czasie wielkiego polowania na heretyków w 1546 roku.

Zostałem wezwany ze swej kancelarii w Lincoln's Inn na rozmowę ze skarbnikiem, panem Rowlandem. Mimo że byłem komisarzem, najstarszym rangą adwokatem, Rowland nie darzył mnie sympatią. Myślę, że nie zapomniał tamtego razu, kiedy przed trzema laty okazałem mu – nie bez powodu – brak szacunku, urażając jego dumę. Szedłem teraz przez jaśniejący w letnim słońcu dziedziniec, wymieniając pozdrowienia z innymi odzianymi na czarno i podążającymi w różne strony prawnikami. Spojrzałem w okna Stephena Bealknapa, mego starego wroga – zarówno w sądzie, jak i poza nim. Okiennice były zamknięte. Od początku roku niedomagał i dłuższy już czas nie wychodził ze swej kwatery. Niektórzy powiadali, że jest bliski śmierci.

Dotarłem do biura skarbnika i zapukałem do drzwi. Ze środka dobiegł ostry głos zezwalający mi wejść. Rowland siedział za biurkiem w swym przestronnym gabinecie z grubymi księgami prawniczymi na półkach, będącymi symbolem jego statusu. Był już starym człowiekiem, ponad sześćdziesięcioletnim, chudym jak szczapa, lecz krzepkim jak dąb, o wąskiej, pooranej zmarszczkami, zasepionej twarzy. Nosił białą brodę, długą i rozwidloną według obecnej mody, starannie uczesaną i sięgającą mu do połowy aksamitnego dubletu. Kiedy przekroczyłem próg, uniósł głowę – właśnie przycinał gęsie pióro. Palce, jak ja, miał poplamione atramentem

od wieloletniego sporządzania aktów prawnych.

– Oby Bóg zesłał ci dobry dzień, komisarzu Shardlake – powiedział i odłożył nóż.

Skłoniłem się.

– I tobie, skarbniku.

Wskazał mi stołek, spoglądając na mnie surowo.

– Interesy idą dobrze? – spytał. – Czy będziesz miał w trymestrze je-siennym wiele spraw?

– Całkiem sporo, skarbniku.

– Podobno nie bierzesz zleceń od prawnika Jej Królewskiej Mości – rzucił od niechcienia. – Już od roku.

– Mam mnóstwo innych. I sporo czasu zajmuje mi praca w Sądzie Prób*.

Skłonił głowę.

– Słyszałem, że niektórzy urzędnicy królowej Katarzyny są przesłuchi-wani przez Tajną Radę. Na okoliczność herezji.

– Tak głosi plotka. Ale tyłu ludzi przesłuchiowano w ostatnich miesią-cach.

– Ostatnio widuję cię częściej na mszy w kościele stowarzyszenia. – Uśmiechnął się sardonicznie. – Czyżbyś chciał dowiedzieć, że jesteś wierzący? Mądra polityka w tych burzliwych czasach. Uczęszczać do kościoła, nie rozprawiać o religii, iść za wolą króla.

– W rzeczy samej, skarbniku.

Wziął zaostrzone pióro, splunął na nie, by je zmiękczyć, a następnie wytarł szmatką. Ponownie spojrzął na mnie z uwagą.

– Dotarły do ciebie wieści, że pani Anna Askew została skazana na spalenie żywcem wraz z trzema innymi osobami. Egzekucja ma się odbyć w przyszły piątek, szesnastego lipca.

– W Londynie o niczym innym się nie mówi. Niektórzy twierdzą, że po procesie była torturowana w Tower. Dziwne.

Rowland wzruszył ramionami.

– Gawieź wygaduje niestworzone rzeczy. Jednakże, nieszczęsna, wybrała sobie złą porę. Porzuciła męża i przyjechała do Londynu, by głosić opinie sprzeczne z *Sześcioma artykułami*. Nie chciała wyrzec się przeko-

*Sąd Prób – sąd rozpatrujący skargi wnoszone przez służących królewskich i ludzi ubogich.

nań, spierała się publicznie z sędziami. – Pokręcił głową, a potem pochylił się do przodu. – Jej spalenie na stosie ma być wielkim widowiskiem. Nie było takiego od lat. Król pragnie, by wszyscy zobaczyli, dokąd prowadzi herezja. Zjedzie się połowa Tajnej Rady.

– A król nie? – Według plotek i on miał być obecny.

– Nie.

Przypomniałem sobie, że Henryk wiosną był poważnie chory, i od tego czasu prawie się ludowi nie pokazywał.

– Jego Królewska Mość życzy sobie, by zjawili się przedstawiciele wszystkich londyńskich gildii. – Przerwał na chwilę. – I zrzeszeń prawniczych. Postanowiłem, że ty będziesz reprezentował Lincoln's Inn.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– Ja, skarbniku?

– Bierzesz na siebie mniej obowiązków towarzyskich i reprezentacyjnych, niż przystoi komuś o twej pozycji, komisarzu Shardlake. Nikt się nie pali, by wziąć udział w tym wydarzeniu, więc musiałem sam kogoś wyznaczyć. I uznałem, że teraz twoja kolej.

Westchnąłem.

– Wiem, że nie wykazywałem zbyt gorliwości, jeśli idzie o takie obowiązki. To się zmieni, jeśli tak sobie życzysz, skarbniku. – Wziąłem głęboki oddech. – Ale kiedy indziej, proszę. To będzie straszne widowisko. Nigdy nie byłem świadkiem spalenia na stosie i nie pożądam takiego widoku.

Rowland zbył me protesty lekceważącym ruchem ręki.

– Jesteś zbyt wrażliwy. To dziwne u chłopskiego syna. Widywałeś już egzekucje, wiem o tym. Lord Cromwell wysłał cię na ścięcie Anny Boleyn, kiedy mu służyłeś.

– To było wystarczająco okropne. Teraz będzie jeszcze gorzej.

Postukał w dokument na biurku.

– To polecenie, bym kogoś wysłał. Podpisane przez królewskiego sekretarza, samego Pageta. Jeszcze tego wieczoru muszę go powiadomić, kogo wyznaczyłem. Przykro mi, komisarzu, ale postanowiłem, że ty będziesz tą osobą. – Wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. Podniosłem się więc i skłoniłem ponownie. – Dziękuję, że wyraziłeś chęć wzięcia na siebie większej liczby obowiązków naszego zrzeszenia – dodał gładko. – Zobaczymy, jakie inne... – Tu się zawahał – zadania mogą się nadarzyć.



W DNIU EGZEKUCJI OBUDZIŁEM się wcześniej. Widowisko miało się rozpocząć dopiero w południe, lecz już teraz czułem się zbyt ociężały i przybity, by udać się do sądu. Mój nowy służący, Martin Brocket, punktualny jak zwykle, o siódmej przyniósł do mej sypialni płócienną bieliznę oraz dzban gorącej wody i życzywszy mi dobrego dnia, wyjął dla mnie koszulę, dublet i letnią togę. Zachowywał się poważnie, spokojnie i z szacunkiem, jak to on. Od czasu, kiedy zimą nastał u mnie z żoną Agnes, moje gospodarstwo działa jak w zegarku. Przez na wpół otwarte drzwi usłyszałem, że Agnes każe małemu Timothy'emu przynieść świeżej wody i prosi Josephine, by pospieszyła się ze śniadaniem dla mnie. Mówiła lekkim, życzliwym tonem.

– Kolejny piękny dzień – ośmielił się odezwać Martin. Był ponadczterdziestoletnim jegomościami, nieco łysiejącym, o przeciętnych, niczym niewyróżniających się rysach twarzy.

Nikomiu w domu nie powiedziałem, że jadę na egzekucję Anny Askew.

– Rzeczywiście – odparłem. – Przed południem chyba popracuję w gabinecie, potem wychodzę.

– Doskonale, proszę pana. Śniadanie wkrótce będzie na stole. – Skłonił się i wyszedł.

Wstałem, krzywiąc się z bólu w krzyżu. Na szczęście, ostatnio dolega mi mniej, ponieważ starannie wypełniam zalecenia mego przyjaciela lekarza, Guya. Niestety, nie czuję się przy Martinie swobodnie, bo choć polubiłem jego małżonkę, w jego chłodnym, nieco sztywnym sposobie bycia jest coś, co mnie krępuje. Umywszy twarz i włożywszy czystą, pachnącą lekko rozmarynem koszulę, zganiłem samego siebie za brak rozsądku, gdyż jako pan to ja powinienem nawiązać ze służącym mniej formalne stosunki.

Przyjrzałem się sobie w stalowym lustrze. Kolejne zmarszczki, pomyślałem. Wiosną skończyłem czterdziesty czwarty rok życia. Zmarszczki, siwiejące włosy i zgarbione plecy. Ponieważ bardzo modne były brody – nawet mój sekretarz Barak nosił małą, brązową – sam przed kilkoma miesiącami próbowałem taką zapuścić, lecz urosła siwawa, więc uznałem, że nie jest mi w niej dobrze.

Wyjrzałem przez wielodzielne okno do ogrodu, w którym za moim pozwoleniem Agnes umieściła kilka uli i zaprowadziła ogród zielny. Dzięki temu wyglądał ładniej, a zioła nie tylko pięknie pachniały, lecz także przy-

dawały się w kuchni. Ptaki śpiewały, pszczoły unosiły się wokół kwiatów, wszystko było kolorowe i pogodne. Co za dzień, by w tak straszny sposób stracić życie! – pomyślałem o młodej niewieście i trzech mężczyznach.

Mój wzrok spoczął na liście leżącym na szafce przy łóżku. Pochodził z Antwerpii w hiszpańskich Niderlandach, gdzie przebywał mój dziewiętnastoletni podopieczny, Hugh Curteys, pracujący dla tamtejszych angielskich kupców. Chłopak był teraz zadowolony. Pierwotnie zamierzał studiować w Niemczech, został jednak w Antwerpii i niespodziewanie zainteresował się handlem tkaninami, a zwłaszcza wyszukiwaniem i wyceną rzadkich jedwabi oraz nowych tkanin, takich jak bawełna, która przybywała z Nowego Świata. Listy Hugh wyrażały zadowolenie z pracy, a także swobodnej atmosfery intelektualnej i towarzyskiej, jaka panowała w tym wielkim mieście; na wydziale retoryki odbywały się targi, debaty i wieczory literackie. Choć Antwerpia należała do Świętego Cesarstwa Rzymskiego, katolicki cesarz Karol V nie ingerował w życie licznie zamieszkałych tam protestantów – wolał nie narażać się flandryjskim bankierom, którzy wkładali pieniądze na jego wojny.

Hugh nigdy nie nawiązywał do mrocznego sekretu, którym podzielił się ze mną podczas naszego spotkania rok wcześniej; wszystkie jego listy były utrzymane w pogodnym tonie. W jednym z nich jednak wspomniał o przybyciu do Antwerpii dużej liczby uchodźców z Anglii. *Są w żalonym stanie, zwracają się do kupców o pomoc. To reformatorzy i radykałowie, przepelnieni strachem, że wpadną w sieć prześladowań, którą, jak powiadają, biskup Gardiner zarzucił na całą Anglię.*

Westchnąłem, włożyłem togi i zszedłem na śniadanie. Nie mogłem dłużej mitrzyć czasu, musiałem zacząć ten okropny dzień.



POLOWANIE NA HERETYKÓW ROZPOCZĘŁO się wiosną. Zimą nieprzewidywalna polityka religijna króla zwróciła się w stronę reformatorów. Przekonał parlament, by pozwolił mu zlikwidować kaplice rodowe, w których księża na mocy testamentów umierających darczyńców celebrowali msze za ich dusze. Jednakże, jak wielu innych, podejrzewałem, że kierowały nim motywy nie religijne, lecz finansowe – wojna z Francją, podczas której Anglicy byli oblegani w Boulogne, kosztowała bająnskie sumy. Henryk wciąż obniżał wartość pieniądza, a takiego wzrostu cen nie pamiętali najstarsi. Najnowsze „srebrne” szylingi zawierały zaledwie warstwę sre-

bra wokół miedzianego krążka i już przecierały się pośrodku. Król zyskał nowy przydomek: „Stary Miedzianonosy”. Z powodu zniżki, jakiej żądali kupcy, przyjmując te monety, stały się one warte mniej niż sześciopensówka, a tymczasem zarobki wypłacano zgodnie z nominalną ich wartością.

Wtedy, w marcu, biskup Stephen Gardiner – najbardziej konserwatywny doradca króla w kwestii religii – wynegocjował nowy traktat ze Świętym Cesarstwem Rzymskim. Od kwietnia wciąż słyszało się o ludziach, wysoko i nisko postawionych, których brano na przesłuchania za poglądy w sprawie mszy czy też za posiadanie zakazanych ksiąg. Przesłuchania te objęły nawet domowników samego króla i królowej. Wśród plotek krążących po ulicach Londynu była i ta, że Anna Askew, najlepiej znana ze skazanych na śmierć za herezję, miała powiązania z dworem monarchini i głosiła swe przekonania wśród jej dwórek. Nie widziałem królowej Katarzyny od czasu, gdy przed rokiem była zamieszana w pewną niebezpieczną sprawę, i ku swemu wielkiemu żalowi sądziłem, że nie zobaczę już tej słodkiej i szlachetnej pani. Często jednak o niej myślałem i obawiałem się o nią coraz bardziej, w miarę jak nasilała się nagonka na radykałów. W minionym tygodniu wydano edykt zawierający długą listę ksiąg, których nie wolno było posiadać, a w obecnym dworzanin George Blagge, przyjaciel króla, za herezję został skazany na stos.

Co do mnie, nie sympatyzowałem z żadną ze stron tego religijnego konfliktu i czasami wątpiłem w istnienie Boga, lecz znałem różnych reformatorów, więc jak większość ludzi starałem się nie wychylać i trzymać usta na kłódkę.

Wyszedłem z domu o jedenastej. Timothy przyprowadził pod drzwi frontowe mego poczciwego konia, Genesis, i podstawił mi podnóżek do wsiadania. Miał już trzynaście lat i stawał się coraz wyższy, chudszy i bardziej niezdatny. Wiosną odesłałem do terminu poprzedniego chłopca stajennego, by doszedł do czegoś w życiu, i to samo zamierzałem zrobić z Timothym, kiedy skończy czternasty rok.

– Miłego dnia, jaśnie panie. – Uśmiechnął się swym nieśmiałym szczerbatym uśmiechem, odgarniając z czoła potargany kosmyk ciemnych włosów.

– Dziękuję, chłopcze. Co u ciebie?

– Dobrze, jaśnie panie.

– Musi ci brakować Petera.

– O, tak, jaśnie panie. – Opuścił głowę i kopnął kamyk u stóp. – Ale

wytrzymam.

– Pewnie, że tak – odparłem zachęcająco. – Może jednak powinniśmy pomyśleć o fachu dla ciebie. Zastanawiałeś się nad tym, czym chciałbyś się zajmować w życiu?

Popatrzył na mnie z przestrachem w brązowych oczach.

– Nie, jaśnie panie... ja... myślałem, że zostanę tutaj. – Rozejrzał się i zerknął na drogę. Zawsze był cichym chłopcem, nie tak pewnym siebie jak Peter, i zdałem sobie sprawę, że przerażała go myśl o odejściu w szeroki świat.

– Cóż, nie ma z tym pośpiechu – dodałem uspokajająco. Wyraźnie odetchnął z ulgą. – Muszę już jechać... Obowiązek wzywa.



PRZEJECHAŁEM POD TEMPLE BAR, po czym skręciłem w Gifford Street, prowadzącą na Smithfield. Wielu ludzi zmierzało zakurzoną drogą w tym samym kierunku – jedni konno, drudzy na piechotę, bogaci i biedni, mężczyźni, kobiety i nawet kilkoro dzieci. Niektórzy, zwłaszcza ci w ciemnych strojach, które upodobali sobie religijni radykałowie, byli poważni, inni obojętni, a jeszcze inni podnieceni, jakby nie mogli już się doczekać rozrywki. Pod czarny beret włożyłem perukę komisarza i zacząłem pocić się w upale. Przypomniałem sobie z irytacją, że jestem po południu umówiony z bardzo trudną klientką, Isabel Slanning, której sprawa – spór z bratem w związku z testamentem matki – należała do najgłupszych i najbardziej kosztownych, jakimi kiedykolwiek się zajmowałem.

Minąłem dwóch młodych terminatorów w granatowych kaftanach i czapkach.

– Dlaczego muszą urządzać takie widowisko w samo południe? – Usłyszałem, jak jeden z nich narzeka. – Nie będzie ani odrobiny cienia.

– A ja tam wiem? Pewnie jakieś zarządzenie. Biednej pani Askew będzie jeszcze cieplej. Przed końcem dnia zagrzeje sobie tyłek, co?



SMITHFIELD BYŁA JUŻ ZATŁOCZONA. Na placu, gdzie dwa razy w tygodniu odbywał się targ, cisnęło się mnóstwo ludzi, z których wszyscy zwrócili się w stronę odgrodzonego miejsca pośrodku, strzeżonego przez żołnierzy w białych płaszczach z krzyżem świętego Jerzego i w metalowych hełmach. Trzymali halabardy i mieli surowe miny. Gdyby nastąpiły jakieś protesty,

szybko zostałyby stłumione. Popatrzyłem na tych ludzi ze smutkiem. Na widok żołnierzy zawsze myślałem o swych przyjacielach, którzy stracili życie, a ja niemal razem z nimi, kiedy podczas akcji odpierania francuskiej inwazji zatonęła wielka *Mary Rose*. Od tamtego czasu minął rok, prawie co do dnia, uświadomiłem sobie. W poprzednim miesiącu nadeszły wieści, że wojna dobiega końca, prawie wynegocjowano już z Francją, a także Szkocją, zawieszenie broni, pozostało do uzgodnienia tylko kilka szczegółów. Przypomniałem sobie młode, niewinne twarze żołnierzy, wpadające do wody ciała i zamknąłem oczy. Dla nich pokój przyszedł za późno.

Z końskiego grzbietu miałem lepszy widok niż większość zgromadzonych, znacznie lepszy, niżbym sobie życzył, i w dodatku byłem coraz bliżej odgradzonej przestrzeni, ponieważ tłum wypierał do przodu tych na koniach. Pośrodku centralnego obszaru w suchą ziemię wbito trzy dębowe pale wysokości siedmiu stóp każdy. Tkwiły w nich metalowe obręcze, przez które londyńscy konstable przeciągali żelazne łańcuchy, wsuwali w ich ogniwa kłódki i sprawdzali, czy działają klucze. Czynili to spokojnie i rzeczowo. Nieco dalej, wokół wielkiego stosu drewna – grubych wiązek małych gałęzi – stali inni konstable. Cieszyłem się, że nie pada deszcz. Słyszałem, że jeśli drewno jest mokre, pali się dłużej, straszliwie przedłużając cierpienia ofiar. Naprzeciwko stosu wznosiła się wysoka, pomalowana na biało drewniana mównica. Stąd przed egzekucją miało być wygłoszone kazanie, ostatni apel do heretyków, by wyrazili skruchę. Zadanie to przypadło Nicholasowi Shaxtonowi, byłemu biskupowi Salisbury, radykalnemu reformatorowi, skazanemu na stos razem z innymi, który jednak wyrzekł się herezji, by ocalić życie.

Po wschodniej stronie placu, za szeregiem pięknych kolorowych budynków, zobaczyłem starą wysoką wieżę kościoła Świętego Bartłomieja. Kiedy siedem lat wcześniej klasztor został rozwiązany, jego ziemie przeszły na własność jednego z członków Tajnej Rady, sir Richarda Richa, który zbudował te domy. W ich oknach tłoczyli się ludzie. Przed dawną klasztorną stróżówką wzniesiono wysoki drewniany podest z baldachimem w królewskich barwach: zieleni i bieli. Stojąca pod nim długa ława była zasłana grubymi jaskrawymi poduszkami. Stąd mieli oglądać egzekucję burmistrz oraz przedstawiciele Tajnej Rady. Wśród siedzących na końskich grzbietach rozpoznałem wielu urzędników miejskich; skinąłem głową tym, których znałem. W pewnej odległości stała grupka mężczyzn w średnim wieku, wszyscy byli poważni i zatroskani. Usłyszałem kilka słów w obcym

języku i uznałem, że muszą to być flamandzcy kupcy.

Wokół mnie panował gwar, w powietrzu zaś unosiła się ostra woń londyńczyków latem.

– Podobno łamano ją kołem, aż powyrywano jej ze stawów ręce i nogi...

– Wszak nie mogli jej torturować po skazaniu...

– I John Lassells też ma być spalony. To on doniósł królowi o flirtach Katarzyny Howard...

– Mówią, że Katarzyna Parr też jest w tarapatkach. Mógłby mieć siódmą żonę...

– Czy darują im życie, jeśli okażą żal?

– Za późno na to...

Przy baldachimie nastąpiło poruszenie i głowy zwróciły się w tamtym kierunku; ze stróżówki wyszła w otoczeniu żołnierzy grupa dostojników ubranych w jedwabne togi i czapki, niektórzy ze złotymi łańcuchami na szyjach. Powoli wkroczyli po stopniach na podest i gdy żołnierze zajęli miejsca przed nimi, usiedli w długim rzędzie, poprawiając czapki oraz łańcuchy i spoglądając na gawiedź z zaciętymi, posępnymi minami. Znałem wielu z nich: burmistrza Londynu, Bowesa, w czerwonej szacie; księcia Norfolk, starszego i chudsze niż przed sześcioma laty, kiedy go poznałem, z butnym wyrazem wyniosłej surowej twarzy. Przy jego boku siedział duchowny w białej jedwabnej sutannie z narzuconą na nią czarną albą; nie znałem go, lecz domyślałem się, że musi to być biskup Gardiner. Miał około sześćdziesiątki, był przysadzisty i smagły, z dumnym orlim nosem i dużymi ciemnymi oczami, które lustrowały tłum. Pochylił się i szepnął coś do Norfolk, który skinął głową i uśmiechnął się szyderczo. Wielu mówiło, że tych dwóch chętnie oddałoby Anglię z powrotem pod władzę Rzymu, gdyby tylko mogli.

Za nimi siedziało trzech mężczyzn. Każdy z nich zdobył wpływy za Thomasa Cromwella, ale kiedy ten upadł, zwrócili się ku frakcji konserwatywnej w Tajnej Radzie i byli jak chorągiewka na wietrze, pokazując raz tę, raz inną twarz. William Paget, sekretarz królewski, który wysłał list do Rowlanda, miał szeroką kanciastą twarz i kryjące się pod krzaczastą brązową brodą cienkie usta z jednym opadającym ostro kącikiem, przez co przypominały kreskę. Powiadano, że Paget był obecnie najbliższy króla; nosił przydomek „Mistrz Ceremonii”.

Obok Pageta siedzieli lord kanclerz Thomas Wriothesley, zwierzch-

nik prawników, wysoki, szczupły, z rudą wystającą bródką, i wreszcie sir Richard Rich, wciąż starszy członek Tajnej Rady, mimo oskarżeń o korupcję sprzed dwóch lat, a także, z tego, co wiedziałem, morderca i mój odwieczny wróg. Nic mi z jego strony nie groziło, gdyż wiedziałem o nim pewne rzeczy i wciąż byłem pod opieką królowej. Cokolwiek to jest teraz warte, pomyślałem z niepokojem. Spojrzałem na Richa. Mimo upału miał na sobie zieloną szatę z futrzanym kołnierzem i – ku swemu zaskoczeniu – dostrzegłem w jego szczupłej twarzy o regularnych rysach łęk. Długie włosy, które miał skryte pod zdobionym klejnotami beretem, całkiem już posiwiały. Bawił się złotym łańcuchem. Potem, patrząc w tłum, napotkał mój wzrok. Zacerwienił się i zaciął usta. Przez chwilę patrzył na mnie, po czym odwrócił głowę, kiedy zwrócił się do niego Wriothesley. Przebiegł mnie dreszcz. Mój niepokój udzielił się koniowi, który poruszył się nerwowo. Uspokoilem go klepieniem.

Obok mnie przeszedł żołnierz, niosąc ostrożnie koszyk.

– Z drogi, z drogi! To proch!

Ucieszyłem się. Przynajmniej okażą trochę łaski. Karą za herezję było spalenie żywcem na stosie, czasami jednak władze pozwalały przywiązać paczkę z prochem na szyjach skazańców; proch eksplodował, kiedy dotarły do niego płomienie, i powodował natychmiastową śmierć ofiar.

– Powinni spłonąć do szczętu! – sprzeciwił się ktoś.

– Dobrze mówi! – przyznał mu rację inny. – Pocałunek ognia, lekki i bolesny! – Rozległ się złowieszczy chichot.

Obejrzałem się, kiedy inny jeździec, także w letniej jedwabnej todze prawniczej i ciemnej czapce, przejechał przez tłum i zatrzymał się tuż obok. Był ode mnie kilka lat starszy, miał urodziwą, choć dość poważną twarz, krótką ciemną brodę i niebieskie oczy o przenikliwym, szczerym i bezpośrednim spojrzeniu.

– Dobrego dnia, komisarzu Shardlake.

– I tobie, kolego Coleswyn.

Philip Coleswyn był prawnikiem z Gray's Inn i mym adwersarzem w okropnej sprawie pani Slanning. Występował w imieniu brata mej klientki, równie swarliwego i trudnego jak ona, ale chociaż musieliśmy się zmierzyć jako prawnicy, miałem Coleswyna za porządnego i uczciwego; nie należał do tych adwokatów, którzy dla zarobku chętnie bronią najgorszych spraw. Przypuszczałem, że uważa swego klienta za tak samo irytującego, jak ja moją klientkę. Słyszałem też, że jest reformatorem – ostatnio jeśli o czymś

plotkowano, to o poglądach religijnych innych ludzi – choć mnie to nie robiło żadnej różnicy.

- Reprezentujesz Lincoln’s Inn? – zapytał.
- Tak. A ciebie wybrano na przedstawiciela Gray’s Inn?
- Nie inaczej. Z własnej woli bym tu nie przyjechał.
- Tak jak ja.
- To będzie okrutne widowisko. – Spojrzał mi w oczy.
- Owszem. Okrutne i przerażające.
- Niebawem za nielegalne uznają modlenie się do Boga. – Mówił z lekkim drżeniem w głosie.

Odpowiedziałem wymijająco, lecz ironicznym tonem:

- Naszym obowiązkiem jest wierzyć tak, jak nakazuje król Henryk.
- I oto nakazał – odparł cicho Coleswyn. Pokręcił głową i dodał: – Przepraszam cię, kolego, powinienem uważać na słowa.
- Owszem. Teraz to konieczne.

Żołnierz ostrożnie położył koszyk z woreczkami prochu w rogu odgroźonego terenu. Przeszedł przez barierkę i stanął w szeregu przy kolegach, zwrócony twarzą ku gawiedzi, całkiem niedaleko nas. Wtedy Wriothesley pochylił się i skinął na niego palcem. Ten pospieszył do podestu, a wówczas Wriothesley wskazał koszyk z prochem. Żołnierz coś odpowiedział i lord kanclerz wyprostował się na ławie, widocznie zadowolony. Tamten zaś wrócił na miejsce.

- O co chodziło? – Usłyszałem, że pyta go kolega.
- Chciał wiedzieć, ile jest tam prochu. Bał się, że kiedy ładunek wybuchnie, w stronę podestu polecą płonące szczapy. Wyjaśniłem mu, że paczki z prochem zostaną przywiązane do sztych skażalców, wysoko nad szczapami.

Żołnierz się zaśmiał.

- Radykałowie by się ucieszyli, gdyby Gardiner i połowa Tajnej Rady także spłonęli. John Bale napisałby o tym jakąś sztukę.

Poczułem na sobie czyjś wzrok. Nieco po lewej stronie ujrzałem prawnika w czarnej todze. Stał z dwoma młodzieńcami odzianymi w dublety barwione drogimi substancjami oraz zdobne w perły berety. On sam też był młodym, dwudziestoparoletnim mężczyzną, niskim i szczupłym, o wąskiej twarzy, wyłupiastych oczach i rzadkiej brodzie. Patrzył na mnie twardym wzrokiem. Napotkał moje spojrzenie i odwrócił głowę.

- Znasz tego prawnika, który stoi z tymi dwoma fireykami? – zapyta-

łem Coleswyna.

Pokręcił głową.

- Chyba widziałem go raz czy dwa w sądzie, lecz nie wiem, kim jest.
- Nieważne.

W tłumie nastąpiło poruszenie, albowiem z Little Britain Street wyłoniła się procesja. Pojawili się następni żołnierze otaczający trzech mężczyzn w długich białych koszulach, jednego młodego i dwóch w średnim wieku. Wszyscy mieli nieruchome twarze, ale dziki, pełen strachu wzrok. Za nimi podążali kolejni dwaj żołnierze, niosąc na fotelu młodą, ładną jasnowłosą kobietę, mającą ponad dwadzieścia lat. Kiedy fotel się zachwiał, uchwyciła się podłokietników, a twarz wykrzywiła jej się z bólu. Więc to była Anna Askew, która opuściła męża w Lincolnshire, by przybyć do Londynu i tu nauczać, twierdząc, że poświęcona hostia to tylko kawałek chleba, pleśniejący jak wszystkie inne, jeśli zostawi się go w pudełku.

- Nie wiedziałem, że jest taka młoda – szepnęła Coleswyn.

Kilku konstabli podbiegło do stosu drewna i biorąc z niego wiązki szczap, ułożyło je wokół pali na wysokość stopy. Zaprowadzono tam trzech mężczyzn. Pod nogami konstabli trzaskały gałązki, kiedy przywiązywali skazańców: dwóch – odwróconych do siebie plecami – do pierwszego pala, a trzeciego do następnego z kolei. Słychać było dzwonienie łańcuchów, którymi wiązali im nogi, tułowia i szyje. Annę Askew zaniesiono pod trzeci pal. Żołnierze postawili fotel na ziemi, a konstable przywiązali ją do pala za szyję i w tali.

- To prawda – odezwał się Coleswyn. – Była w Tower torturowana. Zobacz, nie może sama ustać na nogach.
- Lecz po co to robić, skoro została już skazana?
- To wie tylko Jezus.

Jeden z żołnierzy wyjął z koszyka cztery brązowe paczki rozmiaru dużej pięści i starannie przywiązał po jednej do szyi każdego ze skazańców. Ci wzdrzgnęli się odruchowo. Z dawnej stróżówki wyszedł konstabl, niosąc zapaloną pochodnię. Stał z kamienną miną przy ogrodzeniu. Wszyscy zwrócili na niego wzrok. W tłumie zapadła cisza.

Na mównicę wszedł mężczyzna w duchownych szatach. Był starszy, siwowłosy i rumiany; starał się zapanować nad wyrazem twarzy, wykrzywionej przez strach. Był to Nicholas Shaxton. Jednakże w czasie wyrzekania się herezji także miał być przywiązany do pala. Z tłumu dobiegły nieprzyjemne pomruki, potem okrzyk:

– To hańba palić na stosie braci w Chrystusie!

Nastąpił zamęt i ktoś uderzył tego, który wołał; dwaj żołnierze pospieszyli ich rozdzielić.

Shaxton zaczął wygłaszać kazanie, długą rozprawę uzasadniającą dogmat mszy świętej. Trzej skazani mężczyźni słuchali w milczeniu, jeden z nich trząsał się w sposób nieopanowany. Na ich twarzach i białych koszulach pojawił się pot. Anna Askew jednak co jakiś czas przerywała Shaxtonowi okrzykami w rodzaju: „Opuszcza fragmenty, mówi bez księgi!”. Wydawała się już spokojna i opanowana, niemal jakby dobrze się bawiła podczas tego widowiska. Zastanawiałem się, czy biedaczka nie oszalała. Ktoś z tłumu zawołał:

– Zaczynajcie! Podpalcie stosy!

Wreszcie Shaxton skończył. Powoli zszedł z mównicy i został odprowadzony z powrotem do stróżówki. Chciał wejść do środka, lecz żołnierze chwycili go pod ramiona, po czym odwrócili. Miał stać na progu i patrzeć.

Wokół skazańców ułożono wiązki drewna, które sięgały im teraz do łokci. Potem podszedł konstabl z pochodnią i po kolei podpalił wszystkie stosy. Rozległ się trzask ognia, któremu towarzyszyły gwałtowne oddechy, a następnie krzyki bólu, kiedy płomienie ogarnęły nogi ofiar. Jeden z mężczyzn zaczął krzyczeć raz po raz:

– Chrystus przyjmie mnie do siebie! Chrystus mnie przyjmie!

Usłyszałem, że z ust Anny Askew wyrwał się jęk, i zamknąłem oczy. Wokół mnie zapadła cisza, tłum przyglądał się egzekucji.

Wydawało się, że krzyki i trzaskanie szczap nigdy się nie skończą. Mój koń znowu poruszył się niespokojnie i przez chwilę doznałem tego okropnego uczucia, które nawiedzało mnie od czasu zatonięcia *Mary Rose*: miałem wrażenie, że ziemia pode mną się kołysze, zapada i unosi, więc musiałem otworzyć oczy. Trzej mężczyźni wciąż krzyczeli i wili się przy palach. Płomienie już sięgały im do ramion i dolnych części tułowia, paląc skórę. Krew spływała w ogień. Dwaj z nich pochylali się do przodu, czyniąc rozpaczliwe próby zapalenia prochu, daremnie, gdyż nie sięgali tak nisko. Anna Askew osunęła się na fotelu, wszystko wskazywało na to, że straciła przytomność. Zebrało mi się na mdłości. Spojrzałem na rząd twarzy pod baldachimem; wszystkie były zacięte i surowe. Potem zwróciłem uwagę, że młody szczupły prawnik znowu przygląda mi się z tłumu. Pomyślałem z lękiem: Kto to jest? Czego chce?

Coleswyn jęknął i zachwiał się w siodle. Wyciągnąłem rękę, by go

podtrzymać. Wziął głęboki oddech i wyprostował się.

– Odwagi, kolego – powiedziałem do niego łagodnie.

Spojrzał na mnie pobladły, z kroplami potu na twarzy.

– Zdajesz sobie sprawę, że każdy z nas może tak skończyć? – spytał szeptem.

Zobaczyłem, że część zgromadzonych się odwróciła; jedno czy dwoje dzieci, przerażonych straszliwym widokiem, płakało. Któryś z flamandzkich kupców wyjął mały modlitewnik i otworzywszy go, recytował coś z niego po cichu. Jednakże inni śmiali się i żartowali. Nad Smithfield oprócz smrodu ludzkich ciał unosił się zapach dymu i czegoś jeszcze, znanego z kuchni: woń pieczonego mięsa. Wbrew woli zerknąłem ponownie na stopy. Płomienie sięgały już wyżej; dolne części ciał skazańców poczerniały, gdzieś ukazywały się białe kości, górne partie były czerwone od krwi, kiedy ogarniał je ogień. Z przerażeniem dostrzegłem, że Anna Askew odzyskała przytomność i wydawała żałosne jęki, gdy płonęła jej koszula.

Zaczęła coś krzyczeć, lecz wtedy płomienie dosięgły paczki z prochem i wybuch oderwał jej głowę. Krew, kości i mózg wyleciały w powietrze, spadając z sykiem w ogień.

Rozdział drugi

Jak tylko widowisko dobiegło końca, ruszyłem z Coleswynem w drogę powrotną. Niestety, trzech mężczyźni konali dłużej niż Anna Askew, ponieważ przykuci łańcuchami do pali, bardziej stali, niż siedzieli, płomienie sięgnęły paczki z prochem na szyi ostatniego z nich dopiero pół godziny później. Przez większość tego czasu miałem zamknięte oczy i żałowałem, że nie mogę zamknąć także uszu.

Jadąc Chick Lane w stronę stowarzyszeń prawniczych, mówiliśmy niewiele. W końcu Coleswyn przerwał krępującą ciszę:

– Zbyt swobodnie wyraziłem swe poglądy, kolego Shardlake. Wiem, że musimy być ostrożni.

– Mniejsza o to – odparłem. – Trudno powstrzymać się od uwag, oglądając takie sceny. – Przypomniałem sobie jego spostrzeżenie, że wszystkich nas może spotkać taki koniec, i zacząłem się zastanawiać, czy ma powiązania z radykałami. Zmieniłem temat: – Dziś po południu umówiłem się na spotkanie z klientką, panią Slanning. Obaj będziemy mieli pełne ręce roboty przed wrześnieową rozprawą.

Coleswyn prychnął ironicznie:

– O, tak. – Spojrzał na mnie wzrokiem, który mówił, że ma podobne do mojego podejście do tej sprawy.

Dotarliśmy do Saffron Hill, gdzie nasze drogi się rozchodziły, jeśli on zamierzał jechać do Gray's Inn, a ja do Lincoln's Inn. Nie miałem jednak ochoty wracać jeszcze do pracy.

– Nie poszedłbyś ze mną na kufel piwa, kolego?

Coleswyn pokręcił głową.

– Dziękuję za propozycję, ale nie mogę. Wrócę do Gray's Inn i spró-

buję się czymś zająć. Dobrego dnia!

– Wzajemnie, kolego.

Patrzyłem, jak zgarbiony w siodle odjeżdża. Sam jednak nie byłem w stanie wrócić do kancelarii. Ruszyłem do Holborn, zdejmując beret i perukę.



ZNALAZŁEM ZACISZNĄ GOSPODĘ PRZY kościele Świętego Andrzeja; wiedziałem, że niebawem, kiedy gawieź opuści Smithfield, będzie tu tłum, lecz na razie przy stołach siedziało tylko kilku starszych jegomościów. Zapłaciłem za piwo i znalazłem ciche miejsce w kącie. Był to podły mętny trunek, a na jego powierzchni pływały plewy.

Jak zwykle wróciłem myślami do królowej. Przypomniałem sobie, jak ją poznałem, kiedy była jeszcze lady Latimer. Moje uczucia do niej nie zmieniły się od tego czasu. Mówiłem sobie, że to śmieszne, głupie, nie-realne i że powinienem znaleźć sobie kobietę ze swojej sfery, zanim stanę się za stary. Żywiłem nadzieję, że Katarzyna nie posiada ksiąg z listy tych zakazanych. Była ona długa: Luter, Tyndale, Coverdale i, rzecz jasna, John Bale, którego ordynarne nowe dzieło o starych mnichach i zakonnicach, *Acts of the English Votaries* (Uczynki angielskich wyznawców), krążyło wśród londyńskich żaków. Sam miałem wydania Tyndale’a i Coverdale’a, które można było bezkarnie trzymać jeszcze przez trzy tygodnie. Pomyślałem, że bezpieczniej będzie spalić wszystkie w ogrodzie.

Weszła grupka mężczyzn.

– Dobrze uciec od tego smrodu – zauważył jeden z nich.

– Lepszy taki niż smród luteranizmu – warknął inny.

– Luter nie żyje i spoczywa w ziemi, a teraz dołączyli do niego ta Askew i reszta.

– Lecz jeszcze wielu z nich czai się w cieniu.

– Dajcie spokój, napijmy się. Mają tu jakieś placiki?

Uznałem, że pora wyjść. Opróżniłem kufel i opuściłem gospodę. Omiął mnie lunch, ale na myśl o jedzeniu robiło mi się niedobrze.



PRZEJECHAŁEM POD GREAT GATE Lincoln’s Inn, ponownie w todze, peruce i berecie. Zostawiłem Genesis w stajni i udałem się do swej kancelarii. Ku memu zaskoczeniu w sekretariacie panowała krzątana. Wszyscy moi

podwładni – sekretarz Jack Barak, urzędnik John Skelly i nowy uczeń, Nicholas Overton, szukali czegoś gorączkowo wśród papierów na biurkach i regałach.

– Zaraza boska! – krzyczał Barak do Nicholasa, rozwiązując wstążkę na pliku akt i przerzucając dokumenty. – Nie pamiętasz, kiedy widziałeś to ostatnim razem?

Nicholas, który przeglądał inny plik papierów, odwrócił się do niego. Na jego piegowatej twarzy pod rudawymi włosami malował się ponury wyraz.

– Ze dwa dni temu, może trzy. Dostałem do przejrzania tyle aktów cesji...

Skelly spojrział na niego zza okularów. Wzrok miał łagodny, lecz w jego głosie słuchać było napięcie, kiedy powiedział:

– Gdybyś sobie przypomniał dokładniej, panie, zawęziłoby to pole poszukiwań.

– Co się tu dzieje? – spytałem w progę. Wszyscy byli tak zajęci poszukiwaniami, że nie zauważyli, iż wróciłem. Barak zwrócił się ku mnie z zagniewaną miną na brodatym obliczu.

– Pan Nicholas zgubił akt przeniesienia tytułu własności w sprawie Carlingforda! Wszystkie dokumenty świadczące, że Carlingford jest właścicielem swej ziemi, które należy przedstawić w sądzie pierwszego dnia sesji! Tępy drał! – Mruknął. – Nieudolny głupiec!

Nicholas, patrząc na mnie, poczerwieniał.

– Nie chciałem.

Westchnąłem z rezygnacją. Przyjąłem Nicholasa przed dwoma miesiącami na prośbę zaprzyjaźnionego prawnika, któremu byłem winien przysługę, i już tego pożałowałem. Młodzieniec pochodził z rodziny szlacheckiej zamieszkałej w Lincolnshire, a ponieważ w dwudziestym pierwszym roku życia wciąż nie miał fachu, zgodził się spędzić rok czy dwa w Lincoln's Inn, ucząc się prawa, by pomóc ojcu w prowadzeniu majątku. Przyjaciel dał mi do zrozumienia, że między Nicholase a jego rodziną panuje jakiś konflikt, twierdził jednak, że to poczciwy chłopak. Rzeczywiście, był poczciwy, lecz poza tym nieodpowiedzialny. Jak większość zamożnych paniczów przeważnie szwendał się po londyńskich burdelach i już zdążył napytać sobie biedy z powodu nierządnic, wdając się w walkę na miecze z innym żakiem. Król wiosną zamknął domy rozpusty w Southwark i wskutek tego prawie wszystkie prostytutki przeniosły się na drugi brzeg rzeki.

Większość szlacheckich synów uczyła się władania mieczem i ze względu na pochodzenie mogła w mieście nosić je przy sobie, lecz gospody nie były odpowiednimi miejscami, by popisywać się tego rodzaju umiejętnościami. Ostry miecz stanowił strasliwą broń, zwłaszcza w niefrasobliwej dłoni.

Spojrzałem na wysokiego chudego młodzieńca, zauważając, że pod krótką togą żaka nosił zielony dublet z rozcięciami ukazującymi podszewkę ze szlachetnego żółtego adamaszku, wbrew przepisom Inn, nakazującym studentom ubierać się skromnie.

– Szukaj dalej, ale nie denerwuj się, Nicholasiu – zwróciłem się do niego. – Czy wyniosłeś z kancelarii ten dokument?

– Nie, panie – odpowiedział. – Wiem, że to zabronione. – Mówił głosem pełnym ogłady, z wyczuwalnym twardym „r”, charakterystycznym dla Lincolnshire. Na jego twarzy o długim nosie i okrągłym podbródku malowało się zdenerwowanie.

– Podobnie jak noszenie jedwabnych dubletów z rozcięciami – zauważyłem. – Chcesz narazić się skarbnikowi? Kiedy już znajdziesz akt cesji, wróć do domu i przebierz się.

– Tak, panie – odparł pokornie.

– A kiedy po południu przyjdzie pani Slanning, chciałbym, abyś był przy tej rozmowie i robił notatki.

– Dobrze, panie.

– Jeśli zaś do tego czasu akt własności się nie znajdzie, zostaniesz wieczorem i będziesz go szukał.

– Czy już po egzekucji? – zapytał niepewnie Skelly.

– Tak. Ale nie chcę o tym rozmawiać.

Barak uniósł głowę.

– Mam dla ciebie, panie, kilka wiadomości. Dobrych, lecz natury prywatnej.

– Przydałoby się kilka takich.

– Tak też sobie pomyślałem – odrzekł ze współczuciem.

– Chodźmy więc.

Podążył za mną do mego gabinetu z wielodzielnym oknem wychodzącym na dziedziniec. Zdjąłem togę i beret, a następnie usiadłem za biurkiem, podczas gdy Barak zajął miejsce naprzeciwko. Zauważyłem, że w jego ciemnej brodzie pojawiły się dziwne siwe pasma, choć we włosach jeszcze nie. Barak miał trzydzieści cztery lata, był więc dziesięć lat ode mnie młodszy, i niegdyś szczupły, teraz zaczynał nabierać ciała.

Rzucił:

– Ten idiota Overton doprowadzi mnie do śmierci. To jak nadzorować małpę.

Uśmiechnąłem się.

– Nie jest głupi. Świetnie sobie poradził z wyciągiem z akt dotyczących sprawy Bennetta, który sporządził na moje polecenie w zeszłym tygodniu. Jest tylko źle zorganizowany.

Barak burknął:

– Dobrze, że zwróciłeś mi, panie, uwagę na strój. Chciałbym mieć na takie jedwabne dublety.

– Jest młody, trochę niefrasobliwy. – Przywołałem na twarz cierpki uśmiech. – Tak jak ty, kiedy się poznaliśmy. Przynajmniej nie klnie jak szewc.

Barak mruknął w odpowiedzi, a potem spojrzał na mnie poważnie.

– Jak to wyglądało? Egzekucja...

– Tak okropnie, że nie da się opisać. Ale wszyscy odegrali swoje role – dodałem gorzko. – Gawiedź, urzędnicy miejscy i przedstawiciele Tajnej Rady siedzący na podwyższeniu. W pewnym momencie wywiązała się bójka, jednak żołnierze szybko ją stłumili. Ci biedni ludzie umarli w strasznych męczarniach, choć z godnością.

– Dlaczego nie wyrazili skruchy?

– Pewnie sądzili, że to ich pogrąży. – Westchnąłem. – Cóż to za dobre wiadomości, które masz dla mnie?

– Oto pierwsza. Dostarczono to dziś rano. – Sięgnął do sakiewki przy boku. Wyjął trzy błyszczące złote suwereny i położył na stole razem ze złożoną kartką.

Spojrzałem na nie.

– Zaległe honorarium?

– Można tak powiedzieć. Przeczytaj list, panie.

Wzięłem kartkę i rozłożyłem ją przed sobą. Zawierała wiadomość napisaną drżącą ręką: *To pieniądze, które byłem Ci winien za utrzymanie w czasie pobytu u pani Elliardowej. Leżę złożony chorobą i byłoby mi miło, gdybyś mnie odwiedził. Twój kolega po fachu, Stephen Bealknap.*

– Aż otworzyłeś usta, panie. Nic dziwnego, ja też byłem zaskoczony.

Podniosłem monety i obejrzałem je uważnie, spodziewając się, że to jakiś żart. Lecz były to prawdziwe złote suwereny, sprzed dewaluacji, z wizerunkiem młodego króla na awersie i różą Tudorów na rewersie. To

przekraczało wszelkie pojęcie. Stephen Bealknap był znany nie tylko jako człowiek pozbawiony wszelkich skrupułów, lecz także wielki skąpiec. Mówiono, że trzyma istną fortunę w skrzyni, której nocą nie spuszcza z oczu. Majątek zgromadził w wyniku różnych ciemnych interesów, które prowadził przez lata, czasami działając przeciwko mnie. Szczycił się także tym, że nigdy nie spłacał długów, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Minęło trochę czasu, odkąd pod wpływem źle pojętej szlachetności opłaciłem niewiastę, by opiekowała się nim podczas choroby, a on nigdy mi za to nie zwrócił pieniędzy.

– To wręcz niewiarygodne – zauważyłem. – A jednak... pamiętam, że zeszłej jesieni, zanim zachorował, przez jakiś czas okazywał mi dziwną życzliwość. Podchodził do mnie na dziedzińcu i pytał, jak się mam, jak idą sprawy, jakby był moim przyjacielem albo zamierzał nim zostać. Przypomniałem sobie, jak Bealknap w czarnej todze powiewającej wokół jego chudej sylwetki, któregoś słonecznego jesiennego dnia zagadnął mnie na podwórku, pytając, jak mi się wiedzie. Na wychudzonej twarzy miał przytulny uśmiech, a spod beretu na wszystkie strony sterczały mu sztywne jasne włosy. Nie rozmawiałem z nim długo. Nie ufałem mu, oczywiście, i podejrzewałem, że coś się za tą jego życzliwością kryje. Zresztą nigdy nie wspominał o pieniądzach, które był mi winien. Po jakimś czasie zrozumiał moje intencje i znowu zaczął mnie ignorować.

– Może chce odkupić winy, jeśli jest tak chory, jak powiadają.

– Ma guza w brzuchu, czy tak? Choruje od kilku miesięcy, nieprawdaż? Nie widziałem go ostatnio. Kto doręczył ten list?

– Jakaś stara kobieta. Mówiła, że się nim opiekuje.

– Święta Mario! – jęknąłem. – Żeby Bealknap spłacił dług i prosił, by go odwiedzić?

– Pójdiesz zobaczyć się z nim, panie?

– Chyba muszę, choćby z miłosierdzia. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem. – A ta druga wiadomość? Jeśli teraz mi powiesz, że nad Londynem latają żaby, wcale mnie to nie zdziwi.

Uśmiechnął się znowu i rysy jego twarzy złagodniały.

– Nie, to niespodzianka, ale żaden cud. Tamasin jest znowu przy nadziei.

Pochyliłem się i uściśnąłem mu rękę.

– To dobre wieści. Wiem, że pragnąłeś drugiego dziecka.

– Tak. Braciszka albo siostrzyczki dla Georgiego. Ma przyjść na świat

w styczniu.

– Wspaniale, Jack, gratulacje. Musimy to uczcić.

– Nikomu jeszcze nie mówiliśmy. Czy przyjdiesz, panie, na skromny poczęstunek w dniu urodzin Georgiego, dwudziestego siódmego? Wtedy ogłosimy nowinę. I poprosisz starego Maura, by też przyszedł? Opiekował się Tamasin, kiedy spodziewała się Georgiego.

– Ma się zjawić dziś wieczorem na kolacji. Zapytam go przy okazji.

– Doskonale.

Barak odchylił się na oparcie krzesła i wyraźnie zadowolony złożył ręce na brzuchu. Ich pierwsze dziecko zmarło i obawiałem się, że z powodu tego nieszczęścia on i jego żona oddały się od siebie, lecz w poprzednim roku Tamasin urodziła zdrowego synka. A teraz spodziewała się następnego dziecka. Uświadomiłem sobie, jak bardzo Barak się ustatkował i jak różnił się od awanturnika podejmującego ryzykowne misje dla Thomasa Cromwella, jakim był, gdy go poznałem sześć lat wcześniej.

– Bardzo się cieszę – powiedziałem pogodnie. – Może mimo wszystko na tym świecie wydarzy się coś dobrego.

– Zamierzasz, panie, złożyć skarbnikowi raport z egzekucji?

– Tak. Uspokoję go, że moja obecność jako przedstawiciela Lincoln's Inn została zauważona. Między innymi przez Richarda Richa.

Barak uniósł brwi.

– Ten łotr tam był?

– Owszem. Nie widziałem go od roku. Ale pamiętał mnie, oczywiście. Posłał mi paskudne spojrzenie.

– Więcej nie może. Za dużo na niego masz, panie.

– Ale wydawał się niespokojny. Ciekaw jestem, z jakiego powodu. Myślałem, że dobrze mu się teraz powodzi, gdy trzyma z Gardinerem i konserwatystami. – Spojrzałem na Baraka. – Spotykasz się ze znajomymi z czasów, kiedy pracowałeś dla Cromwella? Doszły ci jakieś plotki?

– Czasami, jeśli Tamasin mnie puści, chadzam do dawnych zajazdów. Niewiele jednak słyszałem. I zanim zapytasz, panie, nie mam żadnych wieści o królowej.

– Pogłoski, że Anna Askew była w Tower torturowana, są prawdziwe – odparłem. – Musieli ją przynieść na stos w fotelu.

– Biedaczka. – Barak z namysłem pogładził się po brodzie. – Zastanawiam się, jak ta wieść przedostała się na zewnątrz. Pewnie za sprawą jakiegoś sympatyka radykałów, który pracuje w więzieniu. Od przyjaciół

słyszałem jedynie, że król ostatnio słucha tylko biskupa Gardinera, ale to żadna tajemnica. Przypuszczam, że arcybiskup Cranmer nie był obecny na egzekucji?

– Nie. Przejornie trzyma się na uboczu, w Canterbury. – Pokręciłem głową. – Nie mogę się nadziwić, że tak długo przetrwał. A tak przy okazji... Na egzekucji, w towarzystwie paru dżentelmenów, widziałem pewnego młodego prawnika, który mi się przyglądał. Niski, szczupły, z ciemnymi włosami i bródką. Ciekaw jestem, kto to może być.

– Pewnie ktoś, kto będzie twym adwersarzem w następnym trymestrze, panie, i ocenia cię jako przeciwnika.

– Możliwe. – Przesunąłem palcami po monetach leżących na stole.

– Tylko nie myśl, że wszyscy na ciebie dybią – dodał cicho Barak.

– Cóż, to moja przywara. Ale nie ma się czemu dziwić, po tym, co się działo w ciągu ostatnich kilku lat. – Westchnąłem. – Aaa, i jeszcze coś. Spotkałem na egzekucji kolegę Coleswyna, wysłano go na nią jako przedstawiciela Gray's Inn. To porządny człowiek.

– W odróżnieniu od jego klienta czy naszej klientki. Nicholasowi dobrze zrobi, jeśli posiedzi dziś po południu z tą starą wiedźmą, panią Slanning.

Uśmiechnąłem się na to.

– Też tak pomyślałem. Cóż, zobaczymy, czy znalazł już akt cesji.

Barak wstał.

– Jeśli nie, skopię mu tyłek, czy to szlachcic, czy nie...

Wyszedł, a ja zostałem ze złotymi suwerenami. Spojrzałem na dołączony do nich list. Mimowolnie zacząłem się zastanawiać, co ten Bealknap znowu knuje?



PANI ISABEL SLANNING PRZYBYŁA punktualnie o trzeciej. Nicholas, już w skromniejszym dublecie z lekkiej czarnej wełny, siedział obok mnie z piórem i plikiem kartek. Na szczęście dla siebie, kiedy rozmawiałem z Barakiem, znalazł zagubiony akt własności.

Skelly z pewnym niepokojem wprowadził panią Slanning. Była to wysoka szczupła wdowa około pięćdziesiątki, lecz ze swoją pobruźdowaną twarzą, wąskimi zaciśniętymi ustami i stale zmarszczonym czołem wydawała się starsza. Na rozprawie sądowej w poprzednim trymestrze widziałem jej brata, Edwarda Cotterstoke'a, i zdumiało mnie, jak bardzo jest do

niej podobny pod względem rysów i sylwetki; różniło go od niej tylko to, że miał siwą bródkę. Pani Slanning była w fioletowej sukni z dobrej wełny, z modną wysoką kryzą i obszytym perłami czepcem. Należała do osób majątnych – jej mąż nieboszczyk handlował pasmanterią i jak wiele żon zamożnych kupców zachowywała się z pewną wyniosłością, nieprzystającą niewieście o niższej pozycji. Przywitała się ze mną chłodno, zupełnie ignorując Nicholasa.

Jak zwykle od razu przeszła do rzeczy.

– Cóż, panie Shardlake, jakie wieści? Spodziewam się, że ten podlec Edward znowu próbuje opóźnić sprawę? – Spojrzała na mnie oskarżycielsko swymi dużymi ciemnymi oczami.

– Nie, pani, rozprawa przed Ławą Królewską* została wyznaczona na wrzesień. – Poprosiłem, by usiadła, zastanawiając się ponownie, dlaczego ona i jej brat tak się nie znoszą. Byli dziećmi kupca, zamożnego handlarza zbożem, który umarł młodo, a ich matka ponownie wyszła za mąż. Ojczym przejął interes, lecz on także zmarł nagle rok później, a pani Cotterstoke sprzedała interes i żyła przez wiele lat z procentów od majątku. Pozostała wdową i dokonała żywota przed rokiem, w wieku osiemdziesięciu lat, na skutek paraliżu. Testament sporządziła na łożu śmierci z pomocą księdza. Był dość prosty: pieniądze miały być podzielone równo pomiędzy jej dwoje dzieci, duży dom w pobliżu Chandlers Hall, w którym mieszkała, sprzedany, a zyski także rozdzielone po połowie. Edward, podobnie jak Isabel, był stosunkowo bogaty, pracował jako wyższy urzędnik w ratuszu, i oboje dzięki majątkowi ojca staliby się jeszcze zamożniejsi. Problem pojawił się wtedy, gdy przyszło do podziału zawartości domu. Całe umeblowanie miało przypaść Edwardowi. Jednakże wszystkie dekoracje ścienne, gobeliny i obrazy, „wszelkiego rodzaju ozdoby w obrębie domu, niezależnie od charakteru, gdziekolwiek się znajdują i jakkolwiek są umocowane”, matka pozostawiła Isabel. Było to dość niezwykle sformułowanie, lecz ksiądz, który spisał testament, zeznał pod przysięgą, że starsza dama, mimo zbliżającej się śmierci pozostająca przy zdrowych zmysłach, upierała się przy takich właśnie słowach.

To zaprowadziło nas do punktu, w którym się znajdowaliśmy. Pierwszy mąż pani Cotterstoke, ojciec dzieci, interesował się sztuką i w domu było wiele pięknych gobelinów, kilka portretów oraz – najcenniejsze ze

* Ława Królewska – najwyższa instancja sądu powszechnego w dawnej Anglii.

wszystkiego – duże malowidło ściennie w jadalni, wykonane w tynku. Odwiedziłem ten dom ostatnio, kiedy mieszkał w nim tylko stary sługa w charakterze stróża, i obejrzałem je. Doceniłem to dzieło – sam w młodości zajmowałem się rysunkiem i malarstwem – zaiste, było wyjątkowo piękne. Wykonane przed prawie pięćdziesięciu laty, jeszcze za panowania starego króla, przedstawiało scenę rodzinną: młodą panią Cotterstoke i jej męża w tradycyjnym stroju kupieckim i wysokim kapeluszu z tamtych czasów, siedzących z Edwardem i Isabel jako dziećmi w tym samym pokoju, na którego ścianie je wykonano. Twarze modeli, tak jak letnie kwiaty na stole i okno z widokiem na londyńską ulicę, były niezwykle kunsztownie ukazane. Pani Cotterstoke regularnie konserwowała malowidło i jego kolory pozostały żywe. Stanowiłoby duży atut, gdyby dom został wystawiony na sprzedaż. Ponieważ dzieło to zostało namalowane bezpośrednio na ścianie, według prawa stanowiło stały element wyposażenia, jednakże Isabel twierdziła, że ze względu na słowa użyte przez matkę w testamencie, należy do niej i powinno zostać umiejętnie zdjęte, nawet gdyby wymagało to zburzenia ściany – co, moim zdaniem, nie obyłoby się bez uszkodzenia samego malowidła. Edward sprzeciwiał się temu, twierdząc z uporem, że jest ono częścią domu i musi w nim pozostać. Spory dotyczące zapisów związanych z nieruchomościami – a dom był nieruchomością – były rozstrzygane przez Ławę Królewską, jednakowoż te związane z majątkiem ruchomym – a Isabel twierdziła, że malowidło do niego właśnie się zalicza – podlegały dawnej jurysdykcji kościelnej i były rozpatrywane przez Sąd Biskupi. Dlatego biedny Coleswyn i ja, zanim doszliśmy do kwestii samego testamentu, spieraliśmy się o to, który sąd zajmie się tą sprawą. W ostatnich miesiącach Sąd Biskupi uznał malowidło za ruchomość. Isabel czym prędzej poleciła mi więc zwrócić się do Ławy Królewskiej, która jak zwykle chętnie manifestując swą wyższość nad sądami kościelnymi, orzekła, że sprawa podlega jej orzecznictwu i wyznaczyła oddzielną rozprawę na jesień. Tak więc konflikt pozostawał nierozstrzygnięty i z majątkiem nic nie można było uczynić.

– Mój brat znowu będzie próbował odwlec rozprawę, przekonasz się, panie – oznajmiła Isabel z pewnością w głosie. – Chce mnie zniechęcić, ale to mu się nie uda. Ani temu jego adwokacie. To szczwany lis! – Podniosła głos z oburzeniem, jak zazwyczaj po kilku zdaniach.

– Pan Coleswyn działa w tej sprawie tak, jak pozwala mu prawo – odpowiedziałem ostro. – Owszem, próbował odroczyć rozprawę, lecz obroń-

cy pozwanych zawsze tak robią. Musi postępować zgodnie z zaleceniem klienta, tak samo jak ja. – Nicholas obok mnie notował sumiennie, jego długie smukłe palce sunęły szybko nad kartką. Przynajmniej miał porządne wykształcenie i pisał wprawnie, jak sekretarz.

Isabel się zachnęła.

– Ten Coleswyn to protestancki heretyk, jak mój brat. Obaj chadzają do Świętego Judy, skąd wyniesiono wszystkie obrazy i figury, a pastor odprawia mszę przy gołym stole. – To była kolejna kość niezgody między rodzeństwem, ponieważ Isabel pozostała dumną tradycjonalistką, a jej brat z biegiem czasu stał się reformatorem. – Takiego duchownego należałoby spalić na stosie – ciągnęła. – Jak tę Askew i jej konfratrów.

– Byłaś dziś, pani, na egzekucji? – zapytałem spokojnie. Nie widziałem jej tam.

Zmarszczyła nos.

– Nie poszłabym na takie widowisko. Ale ci ludzie zasłużyli na swój los.

Zauważyłem, że Nicholas zaciął usta. Nigdy nie wypowiadał się na tematy religijne. Przynajmniej pod tym względem był rozsądnym młodzieńcem.

Zmieniłem temat:

– Pani, rozprawa sądowa nie odznacza bynajmniej, że wygramy sprawę. To bardzo trudny przypadek.

Zacisnęła zęby.

– Sprawiedliwość zwycięży. Poza tym wierzę w twoje umiejętności, panie Shardlake. Dlatego wynajęłam komisarza, by mnie reprezentował. Kocham to malowidło. – W jej głosie pojawiła się nuta wzruszenia. – To jedyna pamiątka, jaka została mi po ojcu.

– Nie byłbym wobec ciebie uczciwy, pani, gdybym oceniał nasze szanse na więcej niż połowę. Wiele będzie zależało od zeznań rzeczoznawców. – Na ostatniej rozprawie ustalono, że każda ze stron powoła fachowca z gildii murarzy, którzy orzekną w sądzie, czy i jak można zdjąć malowidło. – Przejrzałaś, pani, wykaz, który ci dałem?

Lekceważąco machnęła ręką.

– Nie znam żadnego z tych ludzi. Musisz, panie, zarekomendować człowieka, który stwierdzi, że malowidło łatwo da się zdjąć. Powinien to być ktoś, kto zrobi to za stosowną sumę. Zapłacę, ile będzie trzeba.

– Najemnik – zauważyłem bezbarwnie. Wiedziałem, że znajdzie się

fachowiec, który za odpowiednią kwotę będzie gotów przysiąc, że białe jest czarne, a czarne to białe.

– W rzeczy samej.

– Kłopot z takimi ludźmi polega na tym, pani, że są sądowi znani, i przez to mało wiarygodni. Zrobilibyśmy lepiej, gdybyśmy powołali kogoś, kogo sąd uważa za uczciwego człowieka.

– I kto zezna przeciwko nam?

– Wtedy będziemy musieli przemyśleć sprawę od nowa.

Isabel ściagnęła brwi, mrużąc oczy w wąskie szparki.

– Skoro tak, weźmiemy jednego z tych najemników, jak ich dziwnie nazywasz, panie. – Spojrzała na mnie wyniośle, jakbym to ja, a nie ona, sugerował wprowadzenie ławy sędziowskiej w błąd.

Wziąłem swoją listę z biurka.

– Proponowałbym powołanie pana Fletchera. Miałem już z nim do czynienia, cieszy się szacunkiem.

– Nie – odparła. – Przejrzałam tę listę. Jest na niej pan Adam, który był przewodniczącym swej gildii. Jeśli istnieje sposób, by zdjąć malowidło, a nie mam co do tego wątpliwości, on na pewno go znajdzie.

– Sądzę, że pan Fletcher byłby lepszy. Występował już w sądzie.

– Nie – powtórzyła zdecydowanie. – Chcę pana Adama. Modliłam się w tej intencji i mam przeczucie, że ten człowiek uzyska dla mnie sprawiedliwy wyrok.

Popatrzyłem na nią. Modliła się w tej intencji? Czy naprawdę myśli, że Bóg zaprzęta sobie głowę nikczemnymi sprawami sądowymi? Lecz jej zarozumiała mina i stanowczo zaciśnięte usta świadczyły, że nie zmieni zdania.

– Dobrze zatem – zgodziłem się. Skinęła władczo głową. – Ale pamiętaj, pani, to twoja decyzja. Nic nie wiem o tym człowieku. Ustalę dzień, w którym rzeczoznawcy obu stron mogliby spotkać się na miejscu. Jak najszybciej.

– Nie mogliby udać się tam oddzielnie?

– Sądowi by się to nie spodobało.

Zmarszczyła czoło.

– Sąd, sąd... najważniejsza jest wygrana. – Zaczepnęła powietrza. – Cóż, jeśli przegram przed Ławą Królewską, zwrócę się do Wydziału Kanc-

lerskiego*.

– Pewnie tak samo jak twój brat, pani, w przypadku przegranej.

Ponownie pomyślałem o antagonizmie między nimi. Wiedziałem, że sięga daleko w przeszłość, ponieważ rodzeństwo nie rozmawiało z sobą od lat, nie tylko od śmierci matki. Isabel z pogardą nawiązywała do tego, że brat nie przejął interesu po śmierci ojczyrna, że mógłby już być radnym, gdyby tylko poczynił wysiłki. I znowu zacząłem się zastanawiać, dlaczego ich matka należała na takie sformułowanie w testamentie. Wręcz jakby chciała, by jej dzieci zwróciły się przeciwko sobie.

– Widziałas, pani, ostatni wykaz mych kosztów? – zapytałem.

– I natychmiast je uregulowałam, komisarzu Shardlake. – Dumnie podniosła głowę. Rzeczywiście, zawsze od razu, bez pytania, spłacała należności. Nie tak jak Bealknap.

– Wiem, pani, i jestem ci wdzięczny. Ale jeśli sprawa nie zakończy się w tym roku i zostanie skierowana do Wydziału Kanclerskiego, koszty wzrosną.

– W takim razie będę się domagała, by pokrył je Edward.

– Zazwyczaj przy zatwierdzeniu testamentu koszty pokrywa się ze sprzedaży nieruchomości. I pamiętaj, pani, że przy obecnym spadku wartości pieniądza dom i majątek pani matki także tracą na wartości. Czy nie byłoby rozsądniej i praktyczniej dojść do porozumienia?

Uniosła się gniewem.

– Jesteś, moim prawnikiem. Powinieneś radzić mi, jak wygrać, a nie jak zakończyć sprawę bez wyraźnego zwycięstwa. – Znowu zaczęła mówić głośniej, ja jednak zachowałem spokojny ton.

– Wielu ludzi zawiera ugody w sytuacji, kiedy wynik sprawy jest niepewny i kosztowny. Tak jak w tym przypadku. A ja się zastanawiam, czy myślałaś, pani, o tym, by sprzedać własną rezydencję i spłacić brata? Wtedy mogłabyś zamieszkać w rodzinnym domu i zostawić malowidło nie-
tknięte, w dawnym miejscu?

Parsknęła śmiechem.

– Dom matki jest dla mnie za duży. Rozmawiasz z bezdzietną wdową. Wiem, że matka mieszkała w nim sama tylko ze służbą, ale była głupia, gdyż dla samotnej kobiety to za duża przestrzeń. Te wielkie pokoje. Nie, doprowadzę do tego, że malowidło zostanie zdjęte i oddane w moje

*Wydział Kanclerski – wydział Sądu Najwyższego.

ręce. Zrobią to najlepsi rzemieślnicy w Londynie. Niezależnie od kosztów. Edward mi w końcu za to zapłaci.

Spojrzałem na nią. Miałem wielu trudnych, nierozsądnych klientów w trakcie swej kariery, lecz upór Isabel Slanning i jej nienawiść do brata były naprawdę niespotykane. A przecież nie można było odmówić jej inteligencji.

Postanowiłem zatem uczynić, co w mojej mocy.

– Dobrze – odparłem. – Teraz chyba powinniśmy omówić tve ostatnie zeznanie, pani. Należałoby nad nim jeszcze popracować. Musimy pokazać sądowi, że jesteśmy rozsądni. Nazywanie brata zarazą i łotrem na pewno nam nie pomoże.

– Sąd powinien wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Powtarzam, to nam nie pomoże.

Wzruszyła ramionami, po czym kiwnęła głową, poprawiając czepiec na siwych włosach. Wyjąłem jej zeznanie. Wtedy Nicholas pochylił się i nieśmiało zabrał głos:

– Za twoim pozwoleniem, panie, czy mogę zadać klientce pytanie?

Zawahałem się, ale moim obowiązkiem było go uczyć.

– Jeśli chcesz...

Przeniósł wzrok na Isabel.

– Powiedziałaś, pani, że twój dom jest mniejszy niż dom matki.

Potwierdziła ruchem głowy.

– Owszem. Ale mi wystarcza.

– Czy ma mniejsze pokoje?

– Tak, młodzieńcze – odrzekła ze zniecierpliwieniem. – W mniejszych domach są mniejsze pokoje. To powszechna wiedza.

– Rozumiem jednak, że malowidło znajduje się w największym pokoju domu matki. Jeśli więc zostanie zdjęte, gdzie je umieścisz?

Isabel poczerwieniała na twarzy i wpadła w złość.

– To moja sprawa, chłopcze – warknęła. – Tak ja twoją jest sporządzać notatki dla swego pana.

Teraz z kolei Nicholas oblał się rumieńcem i pochylił głowę nad kartką. Zadał jednak bardzo mądre pytanie.



PRZEZ NASTĘPNĄ GODZINĘ PRZEGLĄDALIŚMY dokumenty i zdołałem przekonać Isabel do usunięcia z zeznania jej obraźliwych uwag o bracie. Kiedy

skończyliśmy, ze zmęczenia bolała mnie głowa. Nicholas zebrał notatki i skłoniwszy się Isabel, wyszedł z gabinetu. Ta wstała, wciąż pełna energii, lecz zafrasowana – pytanie Nicholasa wyraźnie wytrąciło ją z równowagi. Podniosłem się, by odprowadzić ją do wyjścia, gdzie czekał służący, który miał zabrać swą panią do domu. Wówczas stanęła naprzeciwko mnie – była wysoką niewiastą – i spojrzała mi hardo prosto w twarz.

– Muszę wyznać, panie Shardlake, że czasami mam wątpliwości, czy wkładasz w tę sprawę tyle serca, ile by należało. I ten zuchwały chłopak... – Gniewnie pokręciła głową.

– Pani – odparłem. – Możesz być spokojna, że będę bronił twej sprawy z całą energią, na jaką tylko będzie mnie stać. Ale mam obowiązek przedstawić ci wszystkie możliwości i uprzedzić o wydatkach. Rzecz jasna, jeśli jesteś ze mnie niezadowolona i chciałabyś zwrócić się do innego prawnika...

Ponuro pokręciła głową.

– Nie, panie, zostanę przy tobie, bez obaw.

Ponawiałem tę sugestię już kilka razy; dziwnym trafem jednak najtrudniejsi i najbardziej nieprzyjemni klienci często przejawiali najmniejszą chęć, by odejść, jakby pragnęli zostać i uprzykrzać ci życie z czystej złośliwości.

– Chociaż... – Zawahała się.

– Tak?

– Wydaje mi się, panie, że nie zdajesz sobie sprawy, jaki jest mój brat. – Jej twarz przybrała wyraz, jakiego jeszcze u niej nie widziałem. Był to niewątpliwie strach, który zniekształcił jej rysy nie do poznania. Na chwilę Isabel przemieniła się w wystraszoną starą kobietę. – Gdybyś wiedział, panie... – podjęła cicho. – Gdybyś wiedział, jakich strasznych rzeczy się dopuścił...

– Co masz na myśli, pani? – zapytałem. – Wobec ciebie?

– I innych. – Jej głos przeszedł już w jadowity syk. Gniew powrócił.

– Jakie to rzeczy? – indagowałem.

Jednakże Isabel energicznie pokręciła głową, jakby chciała otrząsnąć się z nieprzyjemnych myśli. Odetchnęła głęboko.

– To nieistotne. Nie ma związku z tą sprawą.

Potem odwróciła się i wyszła pospiesznie z gabinetu, a lniane wstążki jej czepca załopotwały za nią gniewnie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).